Nr. 32. Sobota, dnia 5-go sierpnia 1916

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę ósmą po Zielonych Świątkach.

LEKCYA

z listu św. Pawła do Rzymian rozdział VIII, wiersz 12—17.

Bracia! Powinni jesteśmy nie ciału, abyśmy podług ciała żyli. Albowiem jeśli podług ciała żyć będziecie, pomrzecie: ale jeśli Duchem sprawy ciała umartwicie, żyć będziecie. Bo którzykolwiek Duchem Bożym rządzeni są, ci są synami Bożymi. Boście nie wzięli ducha niewolstwa znowu ku bojaźni, aleście wzięli ducha przywłaszczenia za syny, przez którego wołamy, Abba (Ojcze). Albowiem ten Duch świadectwo daje duchowi naszemu, iżeśmy są synami Bożymi. A jeślić synami, tedyć i dziedzićmi: dziecićmiż Bożymi, a społu dziedzićmi Chrystusowymi.

EWANGELIA

u św. Łukasza rozdział XVI, wiersz 1—9.

W on czas powiedział Jezus uczniom Swoim tę powieść: Był niektóry człowiek bogaty, który miał włódarza, a ten był doniesion do niego, jakoby rozproszył dobra jego. A wezwał go, i rzekł mu: Cóż to słyszę o tobie? Oddaj liczbę włódarstwa twojego, albowiem już włódarzyć nie będziesz mógł. I mówił włódarz sam w sobie: Cóż uczynię, gdyż Pan mój odejmuje odemnie włódarstwo? Kopać nie mogę, żebrać się wstydzę. Wiem, co uczynię: że gdy będę złożon z włódarstwa, przyjmą mnie do domów swoich. Wezwawszy tedy każdego z dłużników pana swego, mówił pierwszemu: Wieleś winien panu memu? A on odpowiedział: Sto bareł oliwy. I rzekł mu: Weźmij zapis twój, a siądz natychmiast, napisz pięćdziesiąt. Potem drugiemu rzekł: U ty wieleś winien? A on rzekł: Sto beczek pszenicy. I rzekł mu: Weźmij zapis twój, a napisz ośmdziesiąt. I pochwalił Pan włódarza niesprawiedliwości, iż roztropnie uczynił. Bo synowie tego świata roztropniejsi są w rodzaju swoim nad syny światłości. A ja wam powiadam: Czyńcie sobie przyjacioły z mamony niesprawiedliwości, aby gdy ustaniecie, przyjęli was do wiecznych przybytków.

NAUKA.

W dzisiejszej przypowieści chce Pan Jezus bogatym i wogóle wszystkim tym, co w tem życiu otrzymali więcej nad innych, wskazać sposób zbawienia duszy dla nich najprzystępniejszy, a ten jest: uczynić sobie przez dobre uczynki i wszelką usłużność przychylność tych, którym z obietnicy Bożej należy się niebo. Wpłata też Pan Jezus swoim zwyczajem do tej głównej nauki niemało innych uwag, dla nas oczywiście bardzo pożytecznych. Używa zaś Pan Jezus często przypowieści, żeby tym sposobem słuchaczów nietylko zaciekawić, ale więcej jeszcze, żeby ich zmusić do głębszego zastanowienia się. Bo kto słowa Bożego słucha, ale nad niem się nie zastanawia i skutkiem tego, albo wcale, albo niedokładnie je rozumie, ten niewiele więcej z tego słuchania odniesie pożytku, niż gdyby go wcale nie słuchał, a w każdym razie ponosi tę szkodę, że jedną łaskę Bożą więcej zmarnował.

„Był niektóry człowiek bogaty, który miał włódarza.” Tym człowiekiem bogatym jest sam Pan Jezus, do którego należy niebo i ziemia i wszystko cokolwiek jest, i który mocen jest jednym rozkazem stworzyć nowych ile zechce światów. Wielcy panowie zwykli zlecać zarząd majątków swoich różnym swoim pełnomocnikom, którzy w pewnych czasach obowiązani są składać Panu rachunki i dochody, jakie były. Tacy plenipotenci miewają większe dochody, ale i większą odpowiedzialność, niż inni niżsi słudzy pańscy. Podobnież czyni i Pan Jezus; wszyscyśmy sługami u Niego, a różnym w różnej mierze rozliczne dobra swoje oddaje do wiernych rąk. I stąd to pochodzi różność między ludźmi, że tu na ziemi jedni posiadają, znaczą, i mogą używać więcej, inni mniej. Ale wszyscy są i w najlepszym razie nie właścicielami, ale tylko włódarzami, czyli zawiadowcami dóbr sobie od Boga do czasu użyczonych i wszyscy muszą w swoim czasie przed Panem zdać liczbę z włódarstwa i z dorobku swego. Jeszcze niedawno temu, kiedy stary obyczaj, a podobno i prawo Boże było w większem niżeli dziś u ludzi poszanowaniu, to jeżeliś gdzie na wsi zapytał gospodarza, czyje to pole i czyje te woły, którymi rolę uprawia, prawie zawsze otrzymywałeś tę odpowiedź, że: najprzód Boże, a potem moje. Niejeden, tak odpowiadając, może nawet nie pomyślał o tem, jak rozumną i prawdziwie chrześciańską dawał odpowiedź. Ale ty, który z łaski Opatrzności w tem życiu ziemskiem wyżej stanąłeś nad innych bogactwem, władzą, stanowiskiem, nauką, rozumem, urodzeniem, urodą, zręcznością lub jakiemikolwiek innymi darami, chciejże zrozumieć, że ta rzekoma wyższość twoja wraz z wszystkiem, co ją ci daje, nie jest bynajmniej twoją własnością; panem tego wszystkiego, i to wszechwładnym, jest Pan i Bóg twój, a ty tylko jesteś u Niego rządcą i to rządcą odpowiedzialnym, obowiązanym do dorobku, czyli przyczyniania chwały Bogu i do zdania ścisłej liczby z włodarstwa twego.

„Rozproszył dobra jego.” O tym tu włodarzu nic nie mówi Ewangelia, żeby był się zbogacił krzywdą pana swego, bo to wogóle nie często pomiędzy zwyczajnymi rządzcami i plenipotentami się zdarza, ale rozproszył, żyjąc nad stan i możność swoją. Mówiono kiedyś o pewnym rządzcy, co pobierał kilkaset rubli rocznej płacy i dość skromną ordynaryę, że gości przyjmował często i suto, prawie po pańsku, utrzymywał troje służby dla siebie, żonie pozwalał ubierać się wcale dostatnio, a dzieci dwoje czy troje porozsyłał do szkół po miastach. On nigdy nie narzekał i czegokolwiek potrzebował, za wszystko zaraz płacił gotówką; ale pan jego na wszystkie strony był zadłużony, i choć ograniczał swoje potrzeby ile mógł, przecież ludzie zewsząd na niego narzekali, że skąpy

jest i nie dba o honor domu swego, bo długów nie płaci. Podobnież i dziś narzekają ludzie na Pana Boga, że chyba zapomniał o tylu biednych, co przy wielkich nawet wysiłkach nieraz wyżywić się prawie nie mogą, a niejedni gorzej jeszcze robią, bo poczynają wygadywać, że Pana Boga chyba wcale niema, kiedy tak źle na świecie. Któż temu winien? Po wielkiej części owi plenipotenci, rządzcy i włodarze Boży, co z małymi wyjątkami „wszyscy co ich jest szukają: nie co jest Jezusa Chrystusa", i rozpraszają dobra Pańskie na swoje wygórowane potrzeby, zaniast niemi zawiadywać według woli Jego.

„Oddaj liczbę włodarstwa twego, albowiem już włodarzyć nie będziesz mógł." Słowo to każdy z ust Pańskich usłyszy, a niejeden w sercu już nieraz je usłyszał, ale niestety podobno go nie usłuchał. Słowa te są groźbą, nie groźbą słabego człowieka, który nie zawsze może wykonać swej groźby, ale Boga wszechpotężnego, który w każdej chwili jako Pan Najwyższy zawezwać może niewiernego sługę do ciężkiej odpowiedzialności. Ale Pan Bóg jest zarazem Ojcem naszym i miłuje nas, więc poucza i ostrzega nas, żebyśmy na oślep nie narażali się na straszne i nieuniknione skutki i lekkomyślności, i przewrotności. Ile razy śmierć zaglądała ci w oczy, to Pan Bóg cię ostrzegał: „oddaj liczbę... już włodarzyć nie będziesz"; nieraz sumienie głośniej przemawiało, to Pan Bóg przestrzegał: „zdawaj liczbę, już włodarzyć nie będziesz"; czasem groziło niebezpieczeństwo utraty majątku, stanowiska, dobrej sławy lub innych dóbr, to Pan Bóg przestrzegał: „zdaj liczbę, już włodarzyć nie będziesz". Dzisiejsze też czasy, w których mnożą się znaki jakby już-już nadchodzącej burzy, kiedy zanosi się na powszechny kataklizm i przewrót wszystkich stosunków istniejących, kiedy trwoga i bezradność coraz szersze ogarnia koła i zdaje się sprawdzać ono słowo Pańskie: „zagubię mądrość mądrych; a roztropność roztropnych odrzucę": to wszystko jest tylko wielkie ostrzeżenie Boże do wszystkich, którzy coś w świecie znaczą: „zdawajcie liczbę... już włodarzyć nie będziecie".

Chociaż po swojemu, prawdziwie po złodziejsku, a przecież skorzystał z danej mu przestrogi włodarz ewangeliczny i to mu pan jego chwali, nie chwaląc bynajmniej nierzetelności jego. Zanim staniemy przed Panem dla oddania Mu liczby z włodarstwa naszego, sami ze sobą obliczmy się, ale rzetelnie, bo Boga oszukać niepodobna. Jakiż był pożytek ze mnie i z dotychczasowego życia mego? Dałeś nam wszystko, coś nam mógł dać, Panie! Dałeś majątek, imię uczciwe, naukę, wychowanie, zdolności, zdrowie, siły do prycy, dałeś rozum, dałeś serce, dałeś więcej jeszcze, bo dałeś wiarę, dałeś tradycye katolickie, tyle natchnień, a nawet i chęci i popędów dobrych. A ja, mając tyle sposobów i pobudek do dobrego, cóżem zdziałał? Miłość własna i szukanie siebie, oto tło życia mego, a na tem brudnem tle tyle, ach tyle brudniejszych jeszcze plam. — Porachuj się, zalęknij i zawstydź samego siebie i bodaj raz wyspowiadaj się z sercem skruszonem.

Wyspowiadawszy się radź o swej przyszłości, póki jeszcze Pan zostawia cię przy włodarstwie twojem i „czyń sobie przyjacioły z mamony niesprawiedliwości, aby gdy ustaniesz, przyjęli cię do wiecznych przybytków." Powiedział Pan Jezus najprzód o „ubogich w duchu," a powtóre o tych, „którzy prześladowanie cierpią dla sprawiedliwości, że ich jest królestwo niebieskie". Pomiędzy tymi więc „jednaj sobie przyjaciół"; z jednej strony „grzechy swoje jałmużnami odkupuj, a nieprawości twoje miłosierdziem nad ubogimi", wedle możności twojej jednym dostarczaj chleba, innym zarobku, a dbaj o sługi twoje, jakby o dzieci przybrane; z drugiej znów strony przystawaj do tych, co pracują, mozolą się, a nieraz i cierpią dla sprawiedliwości; dziękuj Panu Bogu, jeżeli pozwoli ci razem z nimi pracować, mozolić się, a choćby i cierpieć dla jakiejkolwiek zbożnej sprawy. Wtenczas życie twoje przestanie być czczem i szarem i Pan pozwoli ci włodarzyć tak długo, aż On sam wraz z Świętymi swymi, a teraz już i twoimi od niedawna przyjaciółmi, będzie mógł cię przyjąć do przybytków swoich wiecznych.

X. J.

PIOTRUŚ.

(Z FRANCUSKIEGO).

(Ciąg dalszy.)

X.

Wzruszenie nie prędko ustąpiło; długo jeszcze łzy tamowały im mowę. Ale mniejsza o to! Chociaż nic nie mówili, rozumieli się doskonale. Po tym niemym dyalogu pierwszy Placyd przemówił:

— A ciotka?

— Czeka na ciebie...

— Milcia?

— Milka drży z niecierpliwości. Wszyscy cię wyczekujemy — mówił stary, ocierając pot z czoła — ale dzisiaj nie spodziewaliśmy się ciebie wcale... miałeś przybyć za dwa dni... to jest jutro dopiero... Ah!... Niech ci Pan Bóg wynagrodzi za tę niespodziankę!

Mówiąc to, Pascal nie ruszał się z miejsca, a tylko pożerał siostrzeńca oczami. Tyle lat go nie widział, a Placyd tak się zmienił od wyjazdu! Dawniej był to wysoki, szczupły chłopak, bez żadnego zarostu, mizerny i wątłej cery. Teraz zaś wyglądał jak Herkules, opalony afrykańskiem słońcem, z czarną brodą; miał na sobie mundur codzienny, czerwone pantalony obszyte skórą i czapeczkę strzelców afrykańskich.

— Pozwól, chłopcze, niech ci się przypatrzę — rzekł Pascal. — Jakżeś ty zmężniał! Jak dzik wyglądasz! Musiało tam być gorąco, co, hę? Aha! A gdzie krzyż i galony?

— Jest wszystko, wuju — odpowiedział Placyd, który nie mógł ustać na miejscu. — Zostawiłem moje rzeczy na poczcie. Ale ja myślę, że czas by nam iść do La Queyrie?

— Masz słuszność, chłopcze. Cieszę się sam tobą, zapomniawszy o tamtych. Chodźmy, chodźmy! Ah, mój Boże! Jakie one szczęśliwe będą, kiedy cię zobaczą!

— Milka bardzo wyrosła?

— Kompletna kobieta już z niej! A ciągle tylko o tobie mówi...

— Skądże znowu?

— Bez żartów mówię; co to, jej brat Placyd, drugiego takiego nie ma na świecie! Ale też musisz przyznać, żeś długo nie dawał nam o sobie wiadomości.

— Jednakże pisywałem do was; ale że to strasznie zdaleka, bo aż z głębi Afryki z pod Atlasu, to może listy i nie dochodziły.

— Wszystkiego dwa dostaliśmy, a z wczorajszym razem trzy. Nie ma o czem mówić, kiedy już powróciłeś. No, ale wracasz na stałe?

— Na zawsze! Dosyć już mam służby... w końcu wszystko się sprzykrzy człowiekowi. A jakże wam tu idzie?

— Nie najgorzej, kolego... myśmy także zasłużyli na galony. Ba, ciężka to praca była! Pamiętasz może, jak stąd wyjeżdżałeś, mieliśmy wiele długów i koszuli całej w domu nie było; dziś żyjemy dostatnio, długi spłacone... pieniędzy wprawdzie nie wiele, ale szafy za to pełne.

— Bogu dzięki! Jesteście więc szczęśliwi!

— Przed tygodniem mogliśmy się nazywać prawie szczęśliwemi; dziś nic nam już do szczęścia nie braknie.

— Cóż się takiego stało? — zapytał Placyd.

— Ty nam, chłopcze, powróciłeś! — wesoło wykrzyknął Pascal.

XI.

— Za chwilę staniemy na miejscu — mówił po niejakiej przerwie stary wieśniak. — Cóż, poznajesz okolicę?

— Czy poznaję? Jakżeż nawet wuj może się pytać o coś podobnego! Pamiętam każdy krzak, każdą najmniejszą ścieżkę. Wszystko mam tu wyryte, jak żywe.

I dotknął się ręką czoła.

Stanęli już tak na wzgórzu, że o kilkanaście kroków spostrzegli Milcię, stojącą w środku podwórka i otoczoną całą gromadą drobiu. Sypała ona ziarno, śmiejąc się za każdym razem, gdy która śmielsza kura wzlatywała aż do jej ręki, byle tylko wcześniej schwytać łakomy kąsek.

— Widzisz ją? — rzekł półgłosem Pascal do siostrzeńca, który zatrzymał się, zdjęty podziwem.

— To siostra moja! — wybełkotał wzruszony Placyd, opierając się o drzewo. — Oh, jakżeż ona wyrosła!

— Zdaje ci się tylko — żartował Lorin.

— Zupełnie do matki podobna! Tak jak sobie zawsze wyobrażałem. Nigdy jednak nie myślałem, aby taką piękną być mogła. A czy również jest dobrą?

— Złote serce, powiadam ci!

— Poczciwa dziewczyna! I powiadasz wuju, że kocha mnie? Masz tobie! Znowu się rozpłakałem!

— Eh, takie łzy nie zaszkodzą ci z pewnością.

— Nie wytrzymam dłużej — zawołał Placyd — muszę ją uściskać!

Serce biło mu w piersiach jakby młotem; wyciągnął ramiona do siostry i wykrzyknął z uczuciem:

— Mileczko moja!

Na głos ten Milka odwróciła się — odwróciła i już była w objęciach brata.

Placyd jak szalony całował jej usta, czoło, włosy i szyję; przestawał i na nowo zaczynał.

— Milciu... siostrzyczko moja... Mileczko!

Więcej nic wymówić nie zdołał.

Któż jej szczęście wypowiedzieć może? Była w siódmem niebie.

— Gdzie moja żona? — zapytał Pascal robotników, młócących w stodole.

— Pani wyszła na łąkę — odpowiedzieli.

Pascal pobiegł na taras i przyłożywszy rękę do ust w formie trąbki, trzykrotnie zawołał na żonę. Pani Katarzyna nie dosłyszała przecież tego wezwania; wrócił więc do robotników i mówił do nich, wskazując na Placyda:

— Widzicie, to mój siostrzeniec. Powrócił do nas Ty, Reymon, znałeś go dawniej; czyś kiedy spodziewał się, że on zostanie wachmistrzem, co?

A robotnicy odpowiadali:

— Dzielny człowiek, to z oczu mu patrzy!

— Pamiętam go małem dzieckiem — mówił drugi — i nie wątpiłem, że wyjdzie na człowieka, ale muszę przyznać, że przewyższył moje oczekiwania. Taki piękny mężczyzna!

— I wachmistrz — dodał drugi.

— I order ma.

— Patrz, to jest Reymon — mówił do niego — pamięta cię dzieckiem jeszcze; a ten drugi, to Jonillon, także cię zna.

— A co, masz już swego braciszka! — zwrócił się do dziewczyny... Wyobrażam sobie, jakaś jesteś szczęśliwa. Prawda, że chłopak może się podobać, co?... Ah, Kasia nie powraca! Doprawdy nie wytrzymam dłużej... Pójdę sam jej poszukać.

I pobiegł ścieżką, wiodącą na łąkę.

XII.

Oboje młodzi poszli za nim. Milka wzięła brata pod rękę i z lubością wspierała się na jego ramieniu.

On wpatrywał się w nią z równem zadowoleniem.

— Siostrzyczko — mówił — bardzo mi się podobałaś. Jesteś zgrabna i piękna, zupełnie, jak cię sobie wyobrażałem.

Potem z serdecznym uśmiechem, odkrywając pod czarnym wąsem dwa rzędy bielutkich zębów, jakichby się najpiękniejsza Paryżanka nie powstydziła, zapytał:

— A jak mnie znalazłaś?

Milka odrzekła z całą powagą:

— Nigdy cię innym w moich marzeniach nie widziałam.

Kiedy stanęli już na łące, Pascal obejrzał się na wszystkie strony.

— Nie widać jej nigdzie — zawołał.

— Musi być przy źródle — odrzekła Milka. — Poczekajmy jeszcze kawałek, a potem dopiero zawołamy na wujenkę.

O kilka kroków od źródła stał wypróchniały pień wierzby; Milka pokazała bratu, żeby się w nim ukrył.

— Oj dzieci, dzieci! — pogroził Pascal.

— Teraz wołaj, ojczulku! Jużeśmy gotowi.

— Ta dziewczyna co chce to ze mną wyprawia — mówił przekomarzając się stary, a potem na cały głos zawołał: — Kasiu, Kasiu!

Poza drzewami rozlegały się jednostajne uderzenia klepaczki.

— Wujenka pierze u źródła — wyjaśniła Milka.

— Kasiu, Kasiu!

Pani Lorin usłyszała nareszcie. Za chwilę ujrzeli ją z zawiniętemi rękawami, w jednej ręce z klepaczką a w drugiej trzymającą mokrą sztukę bielizny.

— Cóż tam takiego? — zapytała.

— Zbliż się no, matko — potrzebujemy cię tu — mówił Pascal.

— Czego chcecie odemnie? — drżącym głosem badała zaniepokojona pani Katarzyna.

— Niech się wujenka nie boi... to tylko...

— Jeden pan ma do ciebie interes.

— Jeden pan?... Ah, mój Boże! Co ty mówisz? Może Placyd?

— Ja, mateczko, ja! — zawołał Placyd, wyszedłszy z kryjówki i rzucając się w objęcia pani Lorin.

— Boże! — krzyknęła ona. — Jezu Chryste!

Zbladła, pochyliła się i bez przytomności opuściła się w ramiona siostrzeńca.

— Kasiu, Kasiu! — wołał Pascal. — Uspokój się, to on... nasz Placyd! Dzieci, wody, prędzej... matka naprawdę zemdlała!

Milka pobiegła do źródła, wodą z którego opatrywała niegdyś ranę Piotrusia, zmaczała swą chustkę i przyłożyła ją do skroni cioci Kasi.

— Tam do licha! — powtarzał Pascal. — Coby to było, chłopcze, gdybyś nam był nie powrócił!

Po chwili pani Katarzyna odzyskała przytomność i przenikliwie wpatrywała się w Placyda.

Nagle odetchnęła radośnie, ujęła w obie ręce głowę młodzieńca i w milczeniu okrywała ją gorącemi pocałunkami.

XIII.

Od tego dnia La Queyrie przybrała świąteczną postać.

Ojciec Lorin, kogokolwiek spotkał w polu, zapytywał się go zaraz:

— A cóż, widziałeś mojego siostrzeńca?

W razie zaś odmownej odpowiedzi:

— Chodź ze mną na folwark! — dodawał.

I z politowaniem pełnem szlachetnej dumy, prowadził do La Queyrie człowieka, który miał chodzić po świecie, nie znając Placyda.

Zresztą o wachmistrzu dużo mówiono w okolicy; każdy chciał się z nim zapoznać, a chłopaki, straśnie zazdroszczący mu czerwonych spodni, wdradywali się aż pod płot La Queyrie, byle tylko przypatrzeć się żołnierzowi, rozmawiającemu z wujem lub ciotką, albo też przechadzającemu się ze siostrą. Jasiek także zjawił się na folwarku pod pozorem zapoznania się z panem Placydem, ale prawdopodobniej szło mu bardziej o zobaczenie panny Emilii.

W czwartek odbywa się targ w Saint-Alvere; Pascal miał właśnie na sprzedaż parę tucznych wołów, w zamian których potrzebował kupić jedną parę do pługa.

Kiedy więc we środę wieczorem powiedział do swoich, że nazajutrz pójdą wszyscy na targ, Placyd i Milka już o szóstej rano byli gotowi do drogi; ona w strojnym kostyumie wieśniaczki, w krótkiej wełnianej spódniczce z ponsowym fartuszkiem, pończochy niebieskie i trzewiki z guziczkami; on w pełnym uniformie, z galonami na ramieniu i z legią honorową na piersiach.

Pascal ubierał się w swojej izbie. Pani Katarzyna miała pozostać w domu; Mateusz był przy wołach w stajni.

Brat i siostra zeszli na podwórze i czekając aż wszystko będzie gotowe do drogi, rozmawiali tymczasem.

— Cóż więc — mówił Placyd — czy pan Piotr przyjdzie już dzisiaj?

— Bezwątpienia — odrzekła Milka. — Tak przynajmniej obiecał.

— Wiesz, siostrzyczko, że to rzecz dziwna. Nie widziałem go jeszcze, a od trzech dni tyle już nasłuchałem się o nim, iż radbym go poznać.

— Prawda, że dziwnie się złożyło. Nie był kilka dni u nas, bo musiał iść do swojej matki, która dość daleko stąd mieszka, bo aż w okolicach Bugue. Ale miał tej nocy powrócić. Dziś go więc zobaczysz.

— To dobrze.

— Ciekawa rzecz, czy ci się podoba.

— Dlaczegoby nie?

— Nie wiem, ale bardzo bym była rada, gdybyście się zaprzyjaźnili.

— Jeżeli kocha cię tak, jak mnie zapewniacie, ty i nasi starzy, jeżeli starać się będzie uczynić cię szczęśliwą, możesz być pewną, Mileczko, że będę jego przyjacielem.

— Więc go pokochasz?

— A on bardzo cię kocha?

— O, bardzo!

— Naprawdę?

— Niezawodnie. I ja go także kocham.

— I nie kłócicie się nigdy, siostrzyczko?

— Nigdy. On taki dobry, że mi zawsze ustępuje.

— To bardzo wygodnie.

— Coś ty powiedział?

— Nic.

— Złośliwy jesteś! Ale naprawdę mówię, Piotruś ma dobre serce i zasługuje na to, aby go kochano; robotnik z niego sumienny i syn przykładny.

— Cóż ty sobie myślisz, że ja nie umiem go ocenić? Musi być poczciwym chłopcem, skoroś ty go pokochała. Stary mi powiedział, że będziecie szczęśliwi... czegóż mi więcej potrzeba? I tak się jeszcze ładnie złożyło, że zdążyłem przybyć przed samem weselem waszem, a podobna uroczystość to nie do pogardzenia dla człowieka, co jak ja tyle ciężkich chwil w życiu przebył.

— Braciszku mój, jakiś ty dobry!

— Kto? Ja, dobry? Spytaj się no moich przyjaciół Beduinów, to ci powiedzą, jak ich traktowałem.

W tej chwili ukazał się na ganku ojciec Lorin, wystrojony jakby w uroczyste święto; miał na sobie granatową kapotę, kamizelkę w kwiaty i białe spodnie. Olbrzymia chustka z długiemi fontażami krępowała mu szyję, a suto wykrochmalone kołnierzyki sięgały aż po uszy. Na głowie miał ciemny pilśniowy kapelusz, w ręku zaś trzymał jakby berło grubą laskę z wyzłacaną gałką.

— Jak widzę, jużeście gotowi, moje dzieci — zawołał wesoło. — Ja także wystroiłem się od wielkiego dzwonu, i tylko mi krzyża brakuje, żebym się mógł z tobą porównać, Placydzie. Oho, krzyż na piersiach, to wcale nie drobnostka! A tobie zwłaszcza, dziwnie do twarzy z czerwoną wstążeczką! Musisz nam opowiedzieć, w jaki sposób zarobiłeś na nią. Zapoznam cię dzisiaj z wachmistrzem żandarmeryi... twarda sztuka, Napoleońskiej szkoły, ale dzielny człowiek, jak raz kamrat dla ciebie! Hej, Mateuszu, pójdziesz z wołami naprzód i staniesz z niemi w dobrem miejscu na jarmarku! Słyszałeś? Na kogo jeszcze czekamy, dzieci?

— Na Piotrusia, ojczulku — rzekła Milka. — Powinienby lada chwila nadejść.

— Piotruś, ach, prawda! — uderzył się w czoło ojciec Pascal. — Przez te kilka dni na śmierć o nim zapomniałem! (Ciąg dalszy nastąpi).

ŻARTY.

DWUZNACZNE.

— Wszak mówiłeś, że pan L. jest bogaty?

— Tego nie powiedziałem. Mówiłem tylko, że ma więcej pieniędzy, niż rozumu.

OJ TE DZIECI...

Dziadek: Kochasz ty mnie, malcze?

Wnuk: Bardzo.

Dziadek: A jak umrę, będziesz mnie kochał?

Wnuk: Jeszcze bardziej jak teraz, bo dostanę pudełko, gdzie dziadzio chował pieniądze.